

Leszek Możdżer

Leżałem, a moje mięśnie oddawały mimowolne drgawki. Jeszcze mi się to nie zdarzyło. Mięśnie ramion, mięśnie barków wykonywały raptowne krótkie spięcia, chciało mi się płakać i było mi wszystko jedno. Szczerze nie chciałem nagrywać, czułem, że los nagrań jest mi autentycznie obojętny, a moja udręczona psychika narzeczcie ulega dekompresji.

Przez te parę dni sesji nagraniowej byłem w dobrej formie, odpowiadałem na dziesiątki pytań (czy tam jest „F” czy „Fis”? Czy w takcie 293 też gramy staccato, tak jak w takcie 292, czy może już przechodzimy na legato, tak jak w takcie 294?). Orkiestra smyczkowa brzmiała nieźle, a kiedy brzmienie było mało przekonujące, byłem w stanie dawać sensowne uwagi i czułem, że utrzymuję kontrolę nad sesją.

Niańczyłem gwiazdorskie zachowania co poniektórych instrumentalistów, znosiłem z uśmiechem różnorakie naciski, grałem swoje partie, odsłuchiwałem poszczególne wersje. Wiedziona intuicją, wiedziałem, kiedy zarządzić przerwę, kiedy przystąpić do nagrania kolejnego numeru, nie miałem wątpliwości, który kawałek wziąć na warsztat. Był rozpęd i wszystko dobrze szło.

Mało jadłem. To objaw wejścia na wysokie, twórcze wibracje. W nocy napisałem aranż pod solo perkusji, a o drugiej udało mi się napisać nowy numer i jeszcze rozpisać go na smyki. Wystarczało mi kilka godzin snu. Co prawda czwartego dnia zaczęła mnie bardzo boleć głowa, bo kiedy jestem w procesie twórczym to zapominam pić wodę, ale nawet odwodniony – i tak funkcjonowałem bez zarzutu.

Kto by pomyślał, że tak niepozorna i w gruncie rzeczy nieistotna sytuacja kompletnie rozreguluje mi bioelektrykę. Kiedy ostatni członek orkiestry właśnie opuszczali duże studio, my w małym studiu kończyliśmy dogrywkę bębnow. Orkiestra była już nagrana, pozostało mi jeszcze dosłownie

te parę brzęknięć na talerzach, żeby wreszcie zająć się partiami fortepianu.

I wtedy nastąpił nieoczekiwany zwrot. Kiedy cały gorący, w twórczym pędzie, chciałem przystąpić do nagrań fortepianu, reżyser dźwięku, w dobrej wierze, zarządził pakowanie perkusji. Zaprotestowałem, ale odpowiedział, że zrobią to szybko, dzięki temu studio będzie puste i będziemy mogli spokojnie pracować. Wydawało mi się to bez sensu – przecież perkusista miał swoje, osobne pomieszczenie, mógł się spokojnie pakować podczas moich nagrań, ale do budy weszło już dwóch asystentów i zaczęło ją ogołacać ze sprzętu, przy okazji zwijając mikrofony.

Byłem wściekły. Czułem, że straciłem kontrolę nad sesją. Na czwartym biegu nagle musiałem wysprzęglić przy wciśniętym pedale gazu. Czułem się tak, jakby mi ktoś zaciągnął ręczny przy pełnej prędkości. Wbrew sobie zmusiłem się do beczynności i zacząłem poświęcać całą swoją energię na utrzymywanie gniewu pod kontrolą.

Pakowanie trwało niecałe 15 minut, ale ten kwadrans był dla mnie prawdziwą udrętką. Staralem się jednocześnie opanowywać gniew oraz utrzymywać wewnętrzne zasilanie

nie wizji utworu, który zamierzałem za chwilę nagrać. Chyba pobór prądu na oba te procesy był zbyt duży, bo pierwsze co mi wysiadło, to ogrzewanie. Zrobiło mi się cholernie zimno i musiałem ubrać kurtkę.

Bębny były już spakowane i wyniesione ze studia, technicy korzystając z wolnej chwili zaczęli już zwijać kable. Energetyka ograbionego, opustoszałego pomieszczenia zmieniła się, dostrojenie do nowej sytuacji wymagałoby chwili czasu, ale udawałem, że tego nie zauważam.

Zgrałem kilka wersji próbując wygaszać swoje zdenerwowanie, ale przy czwartym podejściu wysiadła główna para mikrofonów. Po prostu przestały przewodzić, sygnał nie wchodził na konsolę. Rozsypałem się wtedy. Wiedziałem, że przy takich wylądowaniach w biopolu nie ma sensu dalej pracować, bo problemy zaczną się spiętrzać.

Zarządziłem godzinę przerwy i poszedłem się położyć. Do świadomości zaczęły dochodzić wszystkie wypierane podczas sesji emocje. Nie miałem już wystarczającej ilości prądu, żeby je utrzymywać w nieświadomości. Mięśnie wykonywały mimowolne drgawki, wiedziałem, że wywaliło mi bezpieczniki i bioelektryka mojego ciała fizycznego potrzebuje się zregenerować. Odbudowanie morale zajęło mi ponad godzinę i kiedy ze zwiotczalnymi mięśniami, w zimowej kurtce ponownie przystąpiłem do nagrań – fortepian zaczął mi brzmieć wyjątkowo dźwięcznie. Ale wiary wystarczyło mi tylko na dwa utwory, czułem się wykończony i nie dałem rady wskoczyć w poprzedni, gorący rytm nagrań.

Myślę, że to właśnie wiara pobiera najwięcej zasilania. A bez niej nie da się pracować.

